

K-87

D

J. I. KRASZEWSKI

429

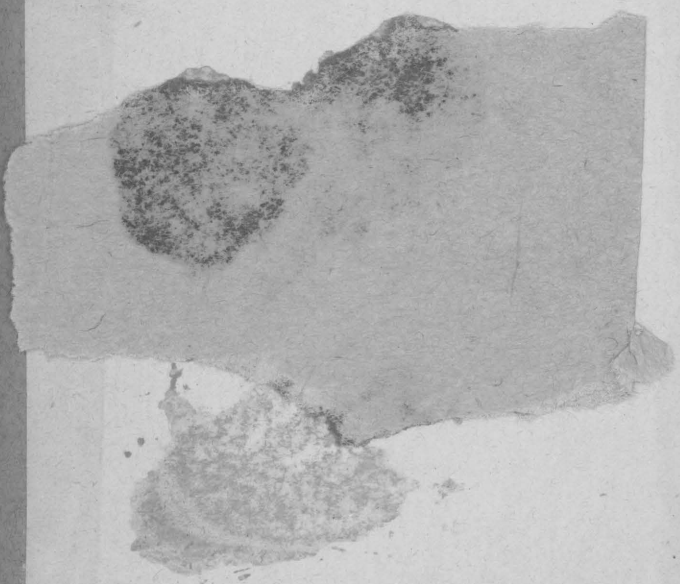
PROFESOR MILCZEK
REJENT WĄTRÓBKA



66

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

Cena 6 kop.



WYDZIAŁ HISTORII I GEOGRAFII
JAN SZYMAŃSKI
1900
WYDZIAŁ HISTORII I GEOGRAFII
JAN SZYMAŃSKI
1900
WYDZIAŁ HISTORII I GEOGRAFII
JAN SZYMAŃSKI
1900
WYDZIAŁ HISTORII I GEOGRAFII
JAN SZYMAŃSKI
1900

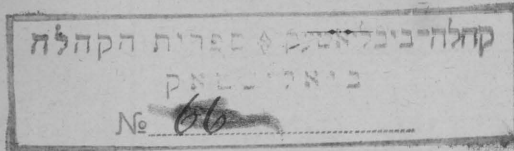
Dubl
8545

K-81

K-77

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETOW LUDOWYCH 26.

J. I. KRASZEWSKI



✓

PROFESOR MILCZEK

REJENT WĄTRÓBKA

2-204 4365



WARSZAWA

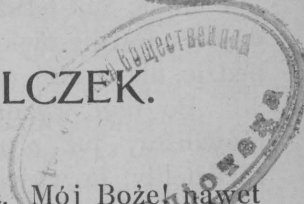
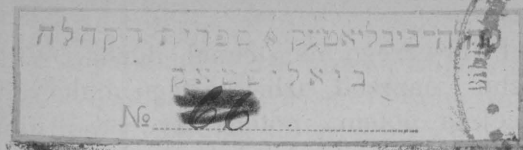
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1907



884-311.2

X.
R. 640
30/6.46r.



PROFESOR MILCZEK.

Mało komu znana postać. Mój Boże! nawet nie bardzo stare rzeczy tak się łatwo zapominają; półroczny grób to już często zagadka, a z wielu żyjących po pięćdziesięciu latach garstka popiołu i czcze nazwisko, jeżeli i ono zostanie. Tak się to pono stało z tym pocziwym profesorem, Milczkiem. Nie było to jego właściwe nazwisko, ochrzcieli go niem studenci. Myśmy go na ławach uniwersyteckich zwali panem Damianem Palcewiczem. Już wówczas, gdyśmy z nim razem na lekcye Capellego i Münicha chodzili, Palcewicz potajemnie brał się do pióra, ale to była tajemnica stanu, sekret, który przypadkiem tylko podchwycić ktoś zdołał. Wstydział się tego i zapierał. Byłem z nim bliżej, więc po długich naleganiach przyznał mi się wreszcie, że rzeczywiście pisać zamyśla...

— Bo to, widzisz — rzekł mi — oprócz pana Joachima ¹⁾ i kilku, co drabują po archiwach, do historyi niema nikogo. A to, co się u nas historyą zowie, czy nią jest wistocie? Materyał to surowy,

¹⁾ T. j. Lelewela.

w który nikt ożywczego nie tchnął ducha. Więc myślę pocichu... naprzód uzbierać tego materiału jak najwięcej, a potem... potem żyć się z nim, wcielić, przetrwać go w sobie i — dopiero historię pisać. A! żebyś wiedział — dodał z zapalem — jak mi się już teraz ta moja księga dziejów wydaje cudownie piękną! Taką ona pewnie nigdy nie będzie, ale o niej marzę, jak o kochance.

Po tem wyznaniu, które skracam wiele, nie mówiliśmy już z nim więcej; losy nas wkrótce rozdzieliły, ja wyjechałem na wieś, on z oczów mi zniknął. W lat kilka, długich i obfitych w wypadki... przejeżdżając przez S..., dowiedziałem się przypadkiem, że Damian jest profesorem historii przy tamtejszem gimnazjum. Jakże nie wstąpić, nie pozdrowić dawnego towarzysza, nie ścisnąć dłoni, nie przypomnieć ciężkich lat próby, razem przebytych! Pobiegłem do niego, zajmował parę pokojów w gmachu szkolnym... pełnych ksiąg i papierów. Uściskałem się ze łzami.

— Cóż porabiasz? co się z twoją historią stało? — zapytałem po pierwszych przywitaniach — porzuciłeś ją?

— A! uchowaj Boże! — zawołał — głębiej w niej siedzę zatopiony, niż kiedykolwiek. Wybrałem cudowną epokę, zakochałem się w niej, pracuję nad nią i najrozkoszniejsze dni życia mojego jej winienem. Wystaw sobie to odgrzebywanie z pod popiołów zagrzebanego w nich życia i skarbów. Co chwila odkrycie nowe, błysk... cudo! Wstają mi z martwych postacie... widzę je wyraźniej codzień, oblicza ich się rumienia, usta przemawiają...

Uczę się rozumieć ich mowę... Epoką tą jest panowanie Zygmunta Augusta. Wystaw sobie tło tego XVI wieku: odrodzenie sztuki, ruch umysłów, obudzenie się chrześcijaństwa, w skostniałych zamrożonego pętach... to tło europejskiej kultury, na którem występują takie charaktery, jak Zygmunt Stary, Bona, Kmitowie, Orzechowscy... nowatorowie religijni, takie kobiety, jak Barbara i Jagiellonki... taki dwór!!! Co to za obraz! a jak obfity materiał!...

— Jużś go zebrał? — spytałem.

— A! nie! jeszcze tego nie mogę powiedzieć, jeszcze mi tego nie dosyć, jeszcze tysiące tomów zostaje do przepatrzenia, do mozolnego zbadania, ale jestem na drodze... stopy notat leżą...

— A więc praca pociągnie się jeszcze długo?

— Czyż ja wiem? mnie przy niej lata upływają, jak błyskawice... Rozpocząłem już redakcję kilku rozdziałów i musiałem porzucić, przekonawszy się, że o prawodawstwie, które tu ważny moment stanowi, nie jestem przygotowany mówić kompetentnie. Studyuję prawo i prawodawstwo współczesne europejskie.

Mówiliśmy potem o czem innem. Wieczorem profesor pokazywał mi zapisane księgi całe... studia cenne, ale ułamkowe. Cieszyliśmy się z nim razem i, życząc mu powodzenia, rozstałem się z nim nazajutrz rano...

Było to, jeśli się nie mylę, około 1839 roku. Przeniosłem się na Wołyń, i profesor Damian ze swą historią zszedł mi z oczów... Znowu lat kilka zbiegło szybko... mnie przy nawpół gospodarskiej, wpół literackiej pracy... a światu na przerabianiu

pojęć, idei i historii współczesnej coraz nowym krojem...

Jednego ranka postrzegłem pocztową bryczkę, zajeżdżającą przed ganek; jakież było zdziwienie moje, gdy, wyszedłszy, poznał (nie od razu) w bladym i zmęczonej twarzy podróżnym dawnego towarzysza...

— Cóż ty tu robisz i jaki szczęśliwy traf? — zawołałem, prowadząc go do swojej przybudówki, dla książek moich sklecone. Nierychło mogłem jednak dopytać się u Damiana, że jechał... korzystając z wakacyi, do biblioteki, w której pewne studia spodziewał się dokonać.

— A cóż się z historią dzieje? — podchwycilem.

— A! z historią! — rzekł jakby zawstydzony — smutna to ta historia moja... Wystaw sobie, jużem był w połowie pracy... ałem się w sam czas opatrzył, że się wiele pojęć i warunków zmieniło... Urosły wymagania. Muszę myśleć nad filozoficznym poglądem na epokę, w harmonii będącym z dzisiejszemi wymaganiami nauki... inaczej dzieło będzie trącić zadawniałemi teoryami... I — dodał — historię teraz inaczej piszą, więcej muszę zbadać literaturę, obyczaje, kulturę narodu... to nieodzowne... To, com zrobił, było jakby rysunkiem, kolo-rytu mu braknie, koloryt zdobyć muszę...

Mówiliśmy o tem długo. Damian westchnął.

— Jest to praca Penelopy. Co dziś się robi, jutro przerabiać potrzeba, przeinaczać... wypełniać, wczorajszy trud łamać. To coś jak ten pałac Stanisława Augusta na Ujazdowie, co miliony koszto-

wał, co roku mury w nim łamano, i w końcu król zmuszony był miastu oddać go na koszary.

Żał mi było biedaka; zawczasu siwieć poczynął. Pomimo lat straconych, on sam zachował zapal dawną dla swego ideału historii.

— A! te ofiary — mówił — to nic, bylebym dożył tego, ażebym zobaczył dokończoną pracę moją i taką, taką, jaką ja ją w duszy mej noszę! Pełną, wielką, piękną, cenną dla uczonych, zrozumiałą dla prostaczków, ponętą, jak powieść, rozgrzewającą, jak poezya... prawdziwą, jak karta z życia.

Dwa dni zatrzymałem u siebie profesora, tem w końcu, żem mu wynalazł parę niedrukowanych ustaw Zygmunta Augusta, tyczących się zarządu ekonomii i lasów królewskich. Nareszcie pożegnaliśmy się rozrzewnieni, w progu, mówiąc cicho: — kto wie, czy się jeszcze kiedy w życiu spotkamy!

Ale — dobre to przysłowie — góra z górą... wypadła podróż niespodziana na Litwę, i znalazłem się znowu jednego wieczora w S... Na myśl mi przyszedł Damian i jego historia. Student szedł ulicą — zapytałem go o profesora. Uśmiechnął się.

— A! pan pyta o profesora Milczka?

— Jakto? dlaczego Milczka?

— Bo my go tu tak nazywamy, i wszyscy go tak nazywają...

— Rozumiem — rzekłem, uśmiechając się — profesor Damian mówić nie lubi!

— Tak, i to wielka szkoda — dodał cicho młody chłopak — bo mógłby wiele rzeczy daleko rozumniejszych powiedzieć od tych, co słów nie żałują. Ale on — cały w sobie. Skromniejszego w świe-

cie niema... Przestrasza go każdy, co się głośno i śmiało odezwie ze zdaniem, już usuwa się natychmiast i milczy... dlategośmy go Milczkiem nazwali.

Mieszkał jeszcze na dawnej swej kwaterze; w ciągu tych kilku lat ożenił się był, a młoda żona i dzieci — jego i książki zepchnęły do jednego ciasnego pokoiku. Ubożej to jeszcze wyglądało, niż kiedykolwiek... ale Damian był, choć szpakowaciał, tyle gorąco serdeczny, jak dawniej. Wśród stosów książek, które literalnie od góry do dołu izdebkę wyścielały i podłogę, i ledwie na dwa z biedy krzeselka zostawiały miejsce... siedliśmy znowu gawędzić. Płacz dzieci dochodził nas z drugiego pokoju i piskliwy głos żony.

— Ożeniłem się, jak widzisz — rzekł — jestem bardzo szczęśliwy... Dzieci takie ładne i żona taka dobra, a choć bieda wielka... ale czyż to tam człowiekowi wiele potrzeba!

— No, a historia, poszła w ką? — zapytałem.

— A! uchwaj Boże! cóż ty myślisz! ideał mojego życia! jabym ją miał porzucić?

— Więc powinnyby być skończona — odezwałem się — dwadzieścia lat pracujesz nad nią, spory to czasu kawał.

— Dwadzieścia lat! ale cóż to jest wobec takiego zadania? — zawołał, zapalając się, Damian. — Wiesz-że ty, co to jest historia epoki taka, jaką ja ją pojmuję?... Kraj nie był przecie bez związku z życiem Europy... tętniało w jego życiu, co się odegrywało gdzieindziej, historię wszystkich państw zbadać należy, aby zrozumieć jego położenie i stosunki... Wystaw sobie... historia

Niemiec, Austrii, Mołdawii i Węgier, wszystkich mocarstw sąsiednich... Potem zmiarkowałem, że to każda najmniejsza postać własna, występująca na scenę, musi być scharakteryzowana dobitnie, więc historia rodzin... biografie, wizerunki... Kto pracuje nad takim relikwiarzem z mozaiki, musi sztuczki dobierać mozolnie.

— To prawda — rzekłem — ale kiedyż temu koniec będzie?

— A i kiedyż? — westchnął. — Koniec być musi, zbliżam się do niego... wstęp napisałem. Redagowałem go sześć razy, obfitość myśli zrobiła go za rozległym, musiałem skrócić... chociaż wydał mi się zbyt obcięty, rozciągnąłem go nieco... dodałem przypiski objaśniające. Za rok przeczytałem i postrzegłem, że do niczego. Nie było artystycznej całości, miało to postać aglomeratu, całość musi organicznie wyglądać... Historyk potrzebuje, jak poeta, chwili natchnienia, a tu mi dzieci płaczą... Wystaw sobie, w chwili, gdym kreślił z zapalem tę scenę, gdy Zygmunt August przyjeżdża z Wilna, a Bona wychodzi przy trumnie męża, klęknąć u nóg syna, jako króla... Stefanek mi upadł i czoło sobie rozkrwawił. Rzuciłem pióro... pobiegłem go utulić, jużem potem nigdy nie mógł wątku przerwane go pochwycić. Ale to mniejsza — dodał — szczęśliwa chwila się znajdzie... tymczasem coraz nowy materiał odkrywają badacze... nie mogę przecie powiedzieć jak Vertot: *Mon siège est fait*¹⁾, muszę je

¹⁾ Moje siedzenie jest ukończone (t. j. zdobyłem podstawę) (franc.).

wcierać do mojej pracy, a tu mi często lada głupia data całe moje pojęcie i tłumaczenie wypadków obala! Snuję na nowo!

— Kochany profesorze... uwielbiam twą wytrwałość, lecz pozwól sobie powiedzieć: gdybyś nie chciał koniecznie skończyć arcydzieła, jużbyśmy mieli choć dzieło, tak zaś nie mamy nic.

— Poczekajcie! — przerwał Damian. — Jużciż niepodobna, abym wam dał taki surowy i niedokładny zbiorek a łataninę, jak pocziwy, zacny i kochany Gołębiowski. Ja — mówił, zapalając się — ja chcę stworzyć obraz skończony epoki, nie epizod bez związku, wyrwany i niezrozumiały... chcę, by moja historia odbijała przeszłość, której jest skutkiem, przyszłość, której była nasieniem... Chcę być historykiem, nie kompilatorem i kronikarzem... My nie mamy dziejopisa w całym znaczeniu tego wyrazu, a ja nim być muszę...

— A! mój drogi — zawołałem, ściskając go — bądź nim! ale prędzej, bo ja się nie doczekam twego Zygmunta Augusta, a bardzo mi pilno.

— No, między nami mówiąc — począł Milczek — już teraz mi niewiele zostaje... Notaty bardzo obfite w porządku, poglądy główne spisane... małych kilka luk... a potem wezmę się do redakcyi, będąc już panem przedmiotu... Parę podróży odbyć jeszcze muszę... Do Petersburga koniecznie. Rękopismów, metryk i biblioteki cesarskiej nic nie zastąpi. W metrykach są nieocenione szczegóły, trzeba je tylko umieć dobywać ze stosu słów i powodzi formuł... samą esencję.

Cały wieczór przegawędziliśmy, ale już nie

w pokoiku profesora, bo pani przysłała niankę przestrzedz nas, że mówimy zbyt głośno, a dzieci obok zasnąć nie mogą. Wyszliśmy więc w starą kasztanową ulicę i włóczyliśmy się po niej do północy.

Rano musiałem jechać dalej; a po kilku leciech zmieniłem pobyt i znalazłem się nad brzegami Wisły. W parę miesięcy po zagospodarowaniu się mocno mnie zdziwił jeden z kolegów wileńskich, gdy, wspominając o dawnych towarzyszach, nadmieniał, że Milczek jest w Warszawie.

— Cóż on tu robi?

— Emeryturę dostał, a że mu tu pracować wygodniej, przeniósł się tu z rodziną.

Nazajutrz byłem już u drzwi pocziwego Damiana, którego znalazłem na odległej uliczce, w małym domku zainstalowanego na tyłach w bardzo niepozornem mieszkaniu. Jedna izba, wydzielona przez profesorową na jego osobisty użytek, przedstawiała ten sam obraz chaotyczny, co ów pokój w S... Na wysiedzianej sofce, w szlafroku... łysy i siwy, pocziwy Damian siedział, zasłonięty foliantem, w którym, dla krótkiego wzroku, z nosem utonął. Posłyszawszy chód, nie odrywając się od czytania, spytał, kto tam? Zbliżyłem się, nierychło mnie poznał, i to dopiero po głosie. Oczy już mu bardzo źle służyły.

— Wiesz — odezwał się — ja już dawno zbierałem się być u ciebie... to nawet na Mokotowską niedaleko, ale taki teraz jestem zajęty.

— No cóż? zawsze Zygmunt August? — zapytałem.

— A cóżby innego być mogło? — odparł powoli — zbliżam się do końca. Ale wiesz, powiem ci, odczytując teraz, com sobie notował i ponakreślał przed laty dwudziestu, znajduję to tak gorączkowem, impetycznem, zbyt śmiałem, że, do kata, na nowo materyał muszę badać, aby skontrolować te sangwiniczne pomysły... Tak się historia pisać nie powinna. Właściwie, ostygłszy teraz, dopiero się czuję usposobionym do zrobienia czegoś godnego tego imienia. Kolorytowi zawiele poświęciłem, wpadłem w anegdotyczność drobnostkową, zdawało mi się, że to lepiej wiek odmaluje, a te fraszki wielkie linie kompozycji historycznej przerywają i zasłaniają. Muszę wszystko przerabiać... Tak, tak—*ars longa, vita brevis*¹⁾. Jednakże, kochany mój — kończył — tej historii winienem, że mi życie przeleciało, jak mgnienie oka... dzieci powyrastały, jam się zestarzał i ani się spostrzegłem.

— Ale mnie bo idzie o historię — przerwałem.

— A i mnie o nic więcej nie chodzi. Mam ją całą w głowie! tu... — wskazał na piersi — czuję ją, widzę i czytam, cieszę się... i bądź co bądź, muszę to sobie przyznać, będzie opracowana sumiennie, wielostronnie. Pracując nad nią, nauczyłem się sam bardzo wiele, nieopłacone rozkosze winienem tej szczęśliwej myśli poświęcenia się tak pięknej epoce dziejowej.

— Mam tedy nadzieję — podchwyciłem — że

¹⁾ Sztuka długa, życie krótkie (łac.).

ją wkrótce ujrzemy, i pozwolisz mi, że dziś zapowiedzi ogłoszę w gazecie.

— A! zlituj się! tego nie rób, człowiecze, zgubiłbyś mnie! Zadnych obietnic... Czekam tylko, żeby Tomicyany skończył wydawać Działyński, bo i stamtąd jeszcze jakieś mi spłynie światelko, potem siadam do redakcji ostatecznej... a że mam wszystko w głowie gotowe, piorunem to pójdzie... Wiesz — dodał — te ostatnie chwile, ten zgon, ten ból serca ostatniego z Jagiellonów, schodzącego bezpotomnie i szukającego lekarstwa w *sokołach*... te Giżanki i różne niewieście profile, ta Anna siostra, starzejąca nad herbarzem i lekarstwy dla ubogich... ta tłuszcza chciwych dworzan dokoła, ten rabunek z pod trumny... co to za obrazyl!... Daj to Macaulayowi, zobaczysz... co to z tem zrobi. Ale ja — dodał, zapalając się, stary — ja będę tym Macaulayem dla Augusta...

— Kochany profesorze, aż mi ślinka do ust napływa, na Boga, nie dajże nam na to czekać...

— Ale powiadam ci, już się biore... niech tylko Tomicyany wyjdą, rzecz gotowa, nic nie brakuje. Aneksa kazałem przepisywać, jest tego nie więcej, jak sześćset arkuszy, bo trzeba być dokładnym i czytelnikowi postawić przed oczy dokumenta, aby mógł z nich sobie wyrobić sąd własny. W ekonomice mej historii — mówił dalej — zachodzą jeszcze małe trudności... Są wypadki, które, ażeby w całości przedstawić, muszę ująć w jeden rozdział, nie pilnując ściśle chronologii, to mnie martwi... czytelnik się będzie bałamucił. Do niektórych przedmiotów wracać muszę

i będę one powtarzał... A tu! tu znowu forma! Bo przyznasz, że dzieło, najznakomiciej opracowane, gdy formy nie ma, to stos kamieni tylko. Trzeba być artystą i architektem, bez tego nic! prawda?...

Milczałem, on ciągnął dalej:

— Zawczasu też należy przewidzieć, co powie nasza krytyka! Jeśli zbyt literacką szatą odzieję moją historię, powiedzą, że romans stworzył, choć słowa nie zmyślę, jeśli napiszę sucho, nikt nie przeczyta. Dla jednych to będzie za mądre, dla drugich za lekkie... koniec końców Bartoszewicz skonkluduje, że materyały nie są jeszcze dosyć przedwstępnie ociosane i że zawczas budować. Gdy pomyślę, kto trud lat trzydziestu sądzić będzie... w gazetach, w pismach, kto go oceni, kto go przeczyta z uwagą, ręce mi opadają. Oto student który niemieckiej akademii, odkrywszy datę jedną omyloną w druku, pozwie mnie o niedokładność... a felietonista z treści rozdziałów potępi plan i... jeśli pierwsza krytyka będzie choć głupia, a śmiała i ostra, dzieło przepadło; wrażenie jej zostanie. Przytem i imię nieznane, a tu powag tyle!...

Spuścił głowę.

— Ale pomimo to... kończyć trzeba.

Po tej rozmowie w rok, siedłem za trumną dawnego towarzysza na Powązki, myśląc sobie po drodze, co też z tą lat z górą trzydzieści pieśczoną historią się siało.

Trzeba było dać czcigodnej wdowie ochłonąć z żalu. W kilka więc dopiero miesięcy zapukałem do drzwi jej nieśmiało.

Zajmowała toż samo mieszkanie. Pokój Milczka był zamknięty, przyjęła mnie w małym bawialnym, zagraconym i biednym, krajano dla dzieci sukienki żałobne, zacząłem od ubolewania i kondolencyi.

— A! tak — odezwała się z płaczem — pocziwy mój Damian odpoczywa, dobry, zacny był człowiek. Ale, panie, jakże on nas zostawił! Dla tej swojej nieszczęsnej historii poświęcił wszystko.

— Cóż się z nią stało?

— Książki Żydom sprzedałam — odezwała się profesorowa — bo to były rupiecie niewiele warte. Tylko tak obalamucony człowiek, jak ten biedny Damian, mógł do nich jakąś przywiązywać cenę.

— A rękopisma? — dodałem z przestachem.

— W czasie pogrzebu jeszcze część się spałiła — obojętnie odpowiedziała profesorowa — a że mi to śmiecie zawałło dużo miejsca, więc i resztę rzuciłam do pieca, bom już i patrzeć nie mogła na te papierzyska, dla których my padliśmy ofiarą.

Taki był koniec pracy mojego profesora. Zmówcie zań wieczne odpocznienie! W jednym z nim grobie i Zygmunt August spoczywa.

Drezno, 15 sierpnia 1872 r.



REJENT WĄTRÓBKA.

Kto miał szczęście znać rejenta Wątróbkę, ten go nigdy nie zapomni, ale trzeba było wiedzieć szczegółowo głównejsze przynajmniej wypadki jego życia, aby tego pocziwego oryginała ocenić.

Naprzód co do jego nieszczęśliwego nazwiska, z którego był dumny, musimy objaśnić, że Wątróbków jest stary ród szlachecki, *prosapia*¹⁾ niepoślednia; zrazu jednak wygląda to na przezwisko, ma fałszywą woń i pozór plebejuszowski. Tymczasem *ekscerpt*²⁾ z drzewa genealogicznego Wątróbków, wykazujący biskupów, opatów i kasztelanów w XIV wieku, pocziwy rejent Wątróбка nosił zawsze w kieszeni.

Ogromny spis wszystkich dóbr, które Wątróbkowie posiadali, z nadzwyczajną dokładnością dokonany, nie przeszkadzał temu, że zdawna byli oni podupadli, zubożali, a rejent nie mógł się nazwać põesesyonatem.

Postać i fizys jego nie były już wcale arystokratyczne, z wyjątkiem jednej cechy: miał bardzo

¹⁾ Pochodzenie, ród (łac.).

²⁾ Wyciąg.

małe ręce, choć nieładne, bo o to się nie starał. Na krwawniku rznięty sygnet ojcowski, aby mógł nosić i klejnotu tego nie gubić, zmuszonym został jedwabną nitką obmotać obrączkę. Jakiej barwy potem była ta nić, wątpię, ażeby ktokolwiek oznaczyć potrafił.

W drugim dziesiątku tego wieku po raz w życiu pierwszy miałem przyjemność spotkać pana rejenta, przypadkiem na popasie w drodze. Dowiedział się o mojem nazwisku, a że znał mojego ojca, przyszedł zaraz poznać się i ze mną.

Było to jesienią późną i w porze najnieprzyjemniejszej: słotnej, zimnej. Mały, ruchawy niezmiernie, z twarzą nieustannie się wykrzywiającą, wyrazistą, nie piękną, ale uderzającą oryginalnymi rysy, rejent miał na sobie lisiurkę wytartą, około szyi okręcony szal stary i spłowiały, na nogach berlacze osobliwych kształtów...

Zaczawszy od zapytań:

— Co kawaler tu porabia, w tym kącie zapadłym; dokąd i z czem jedzie; czy ma co do przekąszenia i nie jest głodny i t. p. — rejent, jak siadł na ławce i począł opowiadać, badać, śmiać się, prawić anegdotki, przebałakał tak cały czas aż do zaprzężenia moich koni, poświęciwszy swoje, które oddawna na niego czekały.

Zastanowiło mnie w rozmowie z nim, że wszystkich znał, a o czemkolwiek mówić przyszło, ze wszystkim był oświadczony, nic mu nie było obcem, obchodziło go wszystko.

Wiadomości najprzeróżnaysze sięgały nawet aż literatury, której nowości znał; choć kilka słów

francuskich, straszliwie wymówionych, wprawy w języku tym nie dowodziły, rozumiał go dobrze.

Musiał mieć naówczas z górą lat pięćdziesiąt, ale żywość miał prawdziwą młodzieńczą, dziarskość dwudziestokilkoletniego chłopaka i, choć okutany, poobwijany od zimna i wilgoci, kręcił się, jakby mu zimno zawadzało.

Króciuchna ta znajomość, na gościńcu zawarta, gdy o niej ojcu, powróciwszy do domu, wspomniał, wywołała wesoły wykrzyknik:

— Poczciwe rejencisko! a, prawda, że oryginal?

Ja niewiele o tej oryginalności mogłem sądzić, ale ojciec, który znał go zdawna, utrzymywał, że to była istota wyjątkowa.

Na imieninach u państwa W..., wśród bardzo licznego zjazdu, po raz wtóry zetknąłem się z nieoszacowanym rejentem. Wyglądał wcale inaczej, miał bowiem naówczas używany frak granatowy z guzikami błyszczącymi, kamizelkę kaszmirową, chustkę na duczce niebieską, popielate spodnie, a włosy najdziwniej do góry nastrzępione, które nieustannie rękoma roztrząsał i znowu wygładzał.

Wszyscy go witali wesoło i uprzejmie, zdawał się miłym wszędzie, a czynnym był i osobą i mową tak, że na chwilę nie spoczywał. Jego szybka, ale dobitna mowa i śmiech klarowny, jasny, czysty, bez żółci, słychać było z kolei po wszystkich kątach domu.

Niekiedy powoływano się na niego, i słychać było:

— Rejencie! rejencie!

Wezwany nadbiegał, i kupka ludzi gromadziła się zaraz koło niego, której gwar wesoły towarzystwo ożywiało.

Nie zawsze przebywając w tych stronach, nie miałem tu wielu znajomych, oprócz trochę dzikiego, bardzo czasem dziwaczego, ale nie bez dowcipu i złośliwości pana B. z Czachca.

Ten zwykle w towarzystwie był, jak korek w wodzie, spływał po wierzchu, nie zanurzając się, obserwował, a czasem słówkiem rzucił ostrem i okrutnie bolesnem, choć tak ogładzonem, że trzeba je było przełknąć w milczeniu.

Tego dnia, dzikszymi może, niż zazwyczaj, p. B., nie mając kogo, trącał mnie łokciem i bawił się rejentem, który mu się wydawał śmiesznym.

— Czy pan pierwszy raz dziś spotykasz tego nieoszacowanego Wątróbkę? — zapytał mnie potem, szczególnie dnia tego będąc usposobionym, bo zwykle nie lubił mówić; wołał słuchać i śmiać się.

— Tak dobrze, jak pierwszy raz — odpowiedziałem — bo raz tylko spotkaliśmy się na gościńcu.

Pan B. począł się śmiać z tym wyrazem satyra, który mu był właściwy; ciągnął dalej po francusku, bo ten język był mu najmielszym:

— Ale to unikat! Zapytaj go pan, co robi cesarz chiński i jak stoi sprawa w komisji radziwiłłowskiej i co się dzieje w parlamencie angielskim i kto wygra proces o grunta w Połonnym Hrodzie, ręczę, że z równą dokładnością potrafi wszystko objaśnić. Ale toby jeszcze było niczem, gdyby zarówno do wszystkiego nie chciał się mieszać.

Spojrzał na mnie pan B. Słuchałem z uwagą, spostrzegł się, że już zawiele, jak na siebie, powiedział, ściągnął więc usta, wedle swego zwyczaju, w rodzaj ryjka i zamilkł.

Ciekawość moja była tak rozbudzona, że, nie mając wśród tych imienin nic lepszego do roboty, nieznacznie chodziłem w ślad za Wątróbką i nie-dyskretnie się przysłuchiwałem.

Charakterystyka pana B. okazała się trafną, gdyż wistocie Wątróbka był niezmiernie oświad-miony i żywo zajmował się najmniejszego z sobą związku nie mającemi osobami i okolicznościami.

Z mowy jego wnosić mogłem, że nie wzy-wany, ale sam z własnej woli mieszał się tak czyn-nie do wszystkiego. Z kilku napomknień widać było, że nie zawsze nawet bezkarnie mu to ucho-dziło, ale nic go nie zrażało.

Przy stole traf mnie posadził obok pana B., który był milczący tak, że na parę pytań moich nie odpowiedział wcale. Raz tylko, jakby mimo-wolnie rzucił mi w ucho, patrząc na Wątróbkę:

— Don Kiszot!

* * *

Jakoś w kilka tygodni po tych imieninach, trafił się wypadek w sąsiedztwie, w domu ze wszech miar poszanowania godnym, w rodzinie nie mają-
tnej, ale zacnej. Przyjęty do chłopców nauczyciel rozkochał w sobie jedną z córek państwa X. i wy-
kradł ją. Ojciec wyparł się dziecięcia; nic go nie mogło przebłagać.

Zrobiło to wrażenie ogromne, bo wszystkim i rodziców i tej biednej panienki wielce żal było.

Jeszcze się tem zajmowano, gdy jednego dnia zajechał do nas rejent Wątróbka.

Ojciec go otwartemi przyjął rękoma, rad nie-
zmiernie i miłemu gościowi i może nadziei, że po
południu wraz z komornikiem, wezwanym z Bogu-
sławców, zaprosi go do wista po trzy grosze.

Ale z Wątróbką ani było mówić można o czem
innem, oprócz awantury owej w sąsiedztwie, dla
której, jak się okazało, przybył do nas naumyślnie,

Główną kwaterę założywszy u nas, miał stąd
czynić wyprawy do L., aby ojca przebłagać, a córce
i uwodzicielowi wyjednać przebaczenie.

Tej ciężkiej roli pośrednika dobrowolnie się
podjął, a gotował się do niej z taką gorączką,
jakby ona mu do serca przyrosła i obchodziła naj-
bliższe pokrewne osoby. Rejent pannę raz w życiu
widział, nieszczęśliwego zaś guwernera ani razu.

— Kochany rejencie — odezwał się zaraz
w początku mój ojciec — jest to sprawa tak de-
likatnej natury, bolesna, że obcemu się do niej
mieszać niepodobna. Tylko czas ułagodzi słu-
szny żal.

— A tymczasem oni z głodu poumierają! —
zawołał rejent. — Sprawa delikatna, tak, drażliwa
niewątpliwie, dlatego właśnie powinien się każdy
starać dopomódz, aby się to szczęśliwie skończyło.
Byłem już w Kobryniu, gdzie oni we dwoje u Żyda
na komornem siedzą, i zlażałem tego chłystka.
Splakałem się nad panienką, a teraz jadę... i, choćby

plackiem przyszło paść do nóg... padnę, ale muszę gniew zażegnać.

— A mnie się zdaje — rzekł ojciec — bogdajbyś nie podrażnił gorzej jeszcze. Daj teraz pokój, czekaj!

— Ale nie mogę! — wykrzyknął rejent — obowiązek sumienia.

Ojciec chciał zmienić rozmowę, nie było sposobu: Wątróbka, przejęty, poruszony, ciągle powracał do swego.

Należy dodać, że naszego sąsiada X. znał bardzo mało, stosunków z nim nie miał żadnych; przewidzieć więc było łatwo, iż jego wmieszanie się źle zostanie przyjęte.

Wiedzieliśmy, iż pan X., do najwyższego stopnia zrozpaczony postępkami córki, wpadał prawie we wściekłość, gdy się nawet matka ośmielała wstawiać za córką.

Wszystko to Wątróbkę, zamiast zrażać, podniecało jeszcze i zachęcało.

Do wista nie dał się nakłonić; po obiedzie zaraz pojechał do L., zabawił krótko i powrócił o mroku.

Ojciec, swym zwyczajem, siedział z fajką na baryerze przed domkiem, gdy rejent się zjawił.

— A cóż? — zapytał.

— No, nic, ale zrobiłem początek.

— Jakiż?

— Wypchnął mię za drzwi, powiadając, abym nosa nie wścibiał, gdzie nie należy — rzekł rejent spokojnie i tylko włosy ręką czochrał i następnie gładził. — Na dziś dosyć, jutro rekapituluję... Pan

chorąży mnie nie wypędzisz? Przenocuję gdziekolwiek bądź.

— Nocuj i siedź, póki tylko chcesz — odparł ojciec — admiruję twe poświęcenie się, ale ci przepowiadam, że przykrość mieć będziesz, a nic nie wskórasz... Znam jego, jest zacięty, niełatwo go zmiękczyć.

— Ale próbować należy — odparł rejent — to darmo! Żeby z tego powodu córki się wypierać i wydziedziczać i nie dać się jej na oczy pokazywać... to się nie godzi! Serce mieć potrzeba! W pierwszej chwili pojmuję oburzenie, uniesienie, ale teraz czas ochłonąć.

Rejent pozostał na noc, nazajutrz znowu pojechał do rozgniewanego ojca, który schował się przed nim. Rejent siedział i czekał do wieczora o głodzie i powrócił z niczem do nas. Ruszył po raz trzeci, i skończyło się na tem, że u zamkniętych wrót pan X... kijem mu zagroził.

Wątróbka wrócił, skonfundowany wprowadzie niepowodzeniem, ale bynajmniej nie zrażony... Uznał tylko, że potrzeba było ojcu więcej dać czasu na wyburzenie się całkowite. Pożegnał więc nas i odjechał.

Dowiedzieliśmy się później, iż wygnanym onym młodym państwu dał naprzód schronienie u siebie, a potem póty pracował, biegał i prosił, aż byłemu guwernerowi wynalazł zajęcie.

Ale ponowione próby prześlągania ojca zupełnie mu się nie powiodły.

Ten jeden wypadek dał mi wyobrażenie o re-jencie. Był ubogi, a niezamożność swą zawdzięczał

tylko temu mieszanu się do spraw cudzych. Śmiano się z niego, wstrzymywano go, ale natura jego była taka, więc nic nie pomagało. Zaledwie zasłyszal o czymś, zrywał się i szedł złapać guza.

Naówczas gdy go poznał, był wdowcem bezdzietnym, ale historia jego ożenienia należała także do ekscentrycznych wybryków. Dlaczego nigdy nikt nie uznał w nim heroizmu i bezprzykładnego poświęcenia się, a wszyscy się z niego naśmiewali? nie wiemy; dlaczego ci nawet, którym służył z takim zaparciem się siebie, nie okazywali mu wdzięczności, rzecz niepojęta.

Pan B. z Czachca zwał go Don Kiszotem i miał po części słusność; obok heroizmu była śmieszną tą jawność, jaką mimowoli nadawał swoim uczynom. Śmieszność zaś nawet cnotę na tym padole zabija.

Rejent ożenił się był, jak mi później opowiadano, po roku 1831. Tę, która miała być jego żoną, poznał przypadkiem w domu, w którym jej czasowo dano przytułek. Była to osoba nadzwyczajnej piękności, świetnego wychowania, ale sentymentalizmu chorobliwego i egzaltacyi nadzwyczajnej. Mieszkając u majątnych krewnych, czasu pewnego poznała pięknego sąsiada, który się w niej zakochał i w którym też ona się rozmiłowała. Nastąpiły zaręczyny, ale nie było czasu na wesele: narzeczoną, rozchorowawszy się nagle, umarł po kilku dniach męczarni.

Rozpacz narzeczonej dochodziła do szaleństwa; musiano ją gwałtem oderwać od zwłok, a że bogatsi krewni, u których się wychowywała, już

nie chcieli być jej dobrodziejami, wzięli ją biedniejsi.

Od nich dowiedział się Wątróbka o historii panny Waleryi, ulitował się nad biedactwem i postanowił ożenić się z nią. W chwili uniesienia, nie obrachowując następstw, nie zastanawiając się nad przyszłością, Wątróbka oświadczył, że gotów jest, chociaż nie kochany i nie kochający, iść z sierotą do ołtarza.

Nie widział jej nigdy w życiu, gdy to postanowienie uczynił. Nikt naówczas nie śmiał go odwozić od poświęcenia, które istotnie pięknem było i szlachetnem.

Krewni pochwycili go za słowo, sierota zezwoliła na ślub z człowiekiem zupełnie obcym.

Przy bardzo szczupłej fortune Wątróbki, ożenienie to musiało pociągnąć za sobą najopłakaniejsze następstwa. Nieszczęśliwa Walerya była i wychowaniem i losem swym do najwyższego stopnia rozdrażnioną, niecierpliwą, w pożyciu nieznośną. Czuła swą wyższość jakąś nad biednym człowiekiem, który się dla niej poświęcił, i obchodziła się z nim w sposób nieznośny. Wymagająca, wiecznie skarżąca się, dumna, zatruli życie rejentowi i w dodatku, bez względu na jego położenie, wydatkami bez rachuby, zrujnowała go.

Wątróbka z cierpliwością anielską znosił swe męczeństwo. Szczęściem, trwało ono niedługo, gdyż biedna kobieta, wydając na świat syna, który żył tylko godzin kilka, sama po nim wkrótce umarła.

Można było powiedzieć, że się niebo nad pocziwym, ale nieopatrznyim człowiekiem zlitowało.

Nigdy najmniejsza skarga nie wyrwała się z ust jego. Pamięć okrutnej żony szanował i wystawił jej wspaniały nagrobek.

To ożenienie było może najheroiczniejszym ze wszystkich czynów pocziwego rejenta, innych pomniejszych zliczyć niepodobna. Nie gardził bowiem najdrobniejszą okazyjką uczynienia komuś przysługi.

A ludzie śmiali się z niego!

Nikt nie ocenił człowieka, któremu tylko przydomek »wścibskiego« narzucono, i ten mu do śmierci pozostał.

Śmierć w opuszczeniu była logicznem zamknięciem długiego, powolnego, dobrowolnego męczeństwa.

W ostatnich czasach podupadł majątkowo do tego stopnia, iż się już zaledwie na dzierżawie kilku chat mógł utrzymać. Nakoniec dziedzic, nie odebrawszy tenuty, wygnał go z dzierżawy. Rejent z resztkami rupieci i starą, kulawą gospodynią, której sam więcej, niż ona jemu, służył, wyniósł się do małej miejsciny, na komorne do Żyda.

Z czego i jak żył, to było nierozwikłanem zadaniem; wiadano tylko, że potrzebował bardzo mało.

Posługiwali się nim szczególnie Żydzi do pisanja prośb i układania dokumentów, które wedle formy stylizował. Jeden z Żydów, którzy go najwięcej wyzyskiwali, w najniepocziwszy sposób wciągnął go w jakąś szalbierską spółkę i, sam ucieklszy zagranicę, rejenta, jako spółnika, podał

w podejrzenie. Biednego Wątróbkę wsadzono do więzienia.

Ktoby sądził, że mu to wielką boleść sprawiło, myliłby się wielce.

Zapominając o sobie, Wątróbka znalazł tu biedniejszych od siebie, bo potrzebujących pociechy i moralnego sprostowania. Nawracał więc ludzi, którzy tak samo się z niego śmiali tu, jak wprzód, gdy był w lepszym bycie, jego znajomi i przyjaciele.

Żywa dusza nie ujęła się za niewinnego, który lat dwa pozostał pod kluczem, nim go dla braku dowodów wypuszczono.

Z węzełkiem resztki łachmanów, których w więzieniu nie porozdawał, znalazł się jednego rana stary, złamany, ale pogodnego oblicza rejent na ulicy, wcale nie wiedząc, ani dokąd się uda, ani co jeść będzie.

Zdawało mu się nadzwyczaj prostem, że každy, do kogo zapuka, da mu przytułek.

Okazało się jednak, że nikt go znać nie chciał.

Aby mieć wyobrażenie o nikczemności człowieka, potrzeba w nieszczęściu tylko żądać pomocy.

Psy, gdy widzą, że jednego z nich gryzą inne i że napadnięty skomli z bólu, mają zwyczaj rzucać się na niego i dogryzają ofiarę.

Coś podobnego czynią ludzie; nieszczęście, zamiast obudzić litość, niecierpliwi ich i gniewa.

Faktem jest, że Wątróbka, idąc pieszo w mróz od jednego przyjaciela, który mu drzwi zamknął przed nosem, do drugiego, któryby był niechybnie toż samo uczynił, siadłszy pod krzyżem, zasnął,

i we śnie śmierć litościwa uniosła duszę jego do nieba...

Pozostało po nim wspomnienie... dziwaka. Ludzie tak dalece go nie mogli zrozumieć, iż się aż do obłąkania uciekali, aby sobie wytłómaczyć tę namiętną ofiarność.

Wszystkim o nim anegdotkom, najsmutniejszym nawet, nadano koloryt komiczny, i w czapce błazeńskiej z dzwonkami odszedł zacny człowiek z tego świata, który go zrozumieć nie umiał.

Pochowano go z urzędu, jako włóczęgę, w jakimś wspólnym dole.

I jest mu w nim najlepiej!

1886.



49006

WYBÓR PISARZÓW POLSKICH

DLA DOMU I SZKOŁY.

DOTĄD WYSZŁY:

Kochanowski. Treny. k. 15	
Mickiewicz. Grażyna. . 15	
Kochanowski. Odprawa	
posłów greckich. . . . 15	
A. Mickiewicz. Konrad	
Wallenrod. 20	
Brodziński. Wiesław. . 15	
karga. Kazania sejmowe.	
(Wybór) 20	

SZE TOMIKI BĘDĄ ZAWIERAŁY NASTĘPUJĄCE UTWORY:

Czartoryski. Bard polski.	
eliński. Barbara.	
r. Fredro. Zemsta za mur	
graniczny.	
Śluby panieńskie.	
ochanowski. Wybór pieśni	
i psalmów.	
Wybór fraszek.	
Szachy.	
rzeńkowski. Karpaccy górale	
rasicki. Satyry.	
Myszeis.	
Doświadczyński.	
rański. Nieboska komedia.	
Irydion.	
Przedświt.	
Psalmy przyszłości.	
libelt. O miłości ojczyzny.	
alczewski. Marya.	
ickiewicz. Dziady.	
Księgi narodu i pielgrzym-	
stwa polskiego.	

A. Mickiewicz. Sonety.	
— Drobne wiersze.	
J. U. Niemcewicz. Powrót posła.	
— Dwaj panowie Sieciech-	
wie.	
— Poezye patryotyczne.	
J. Pasek. Pamiętniki.	
W. Potocki. Wojna chocimska.	
W. Pol. Pieśni Janusza.	
— Pieśń o ziemi.	
— Mohort.	
— Obrazy z podróży.	
M. Romanowski. Dziewczę z Sa-	
cza.	
K. Szajnocha. Jadwiga i Jagiełło.	
— Wybór szkiców historycz.	
L. Syrokomla. Wielki czwarte	
— Janko Cmentarnik.	
— Bóg chleba.	
— Ułan.	
— Urodzony Jan Dęboróg.	
— Wybór liryk.	
J. Słowacki. Bielecki.	
— Mnich.	
— Godzina myśli.	
— Kordyan.	
— Balladyna.	
— Trzy poematy.	
— Anieli.	
— Lilla Weneda.	
— Beniowski.	
— Król-Duch.	
K. Ujejski. Wybór.	
F. Zabłocki. Fireyk w załotach.	
G. Żmichowska. Wybór liryk.	
— Poganka.	